

## **Lech Sedlaczek „Hak”- „BIOGRAM”**

### **Uzupełnienie do punktu 11**

Wstąpiłem do konspiracji w kwietniu 1941 roku, w legitymacjach nie ma podanego dnia. Wprowadził mnie kolega – Jan Stefaniak. Przysięgę składałem przed dowódcą plutonu saperów Stanisławem Rudzińskim ps. „Stanley”. Spotkania odbywały się u członków plutonu.

Szkolenia z łączności wojskowej prowadził dowódca – Stanisław Rudziński, a Szkołę Niższych Dowódców prowadził członek Sztabu 7 Rejonu „Jaworzyn”, dowódca I Kompanii, porucznik Zdzisław Chajęcki „Demir”.

Szkolenia odbywały się w domach szkolonych kolegów, nie pamiętam ich adresów.

### **Uzupełnienie do punktu 12**

Miejsce dowodzenia oddziałami 7 Rejonu AK „Jaworzyn” na godzinę „W” ustalono w cegielni we Włochach pod Warszawą.

Na miejsce koncentracji mojej sekcji, z plutonu saperów i plutonów drugiej kompanii z Ożarowa, wyznaczono dużą willę jednego z oficerów VII Rejonu w Ożarowie. Pół godziny przed godziną „W” nadszedł dowódca drugiej kompanii i członek sztabu 7 Rejonu – porucznik Zdzisław Chajęcki „Demir”. Oświadczył, że łączność z dowódcą Rejonu została zerwana, wysłani łącznicy nie wrócili i że on przejmuje dowodzenie oddziałami w Ożarowie. „Wobec nasycenia Ożarowa oddziałami wroga wycofywanymi z dochodzącego do Wisły frontu, rozładowywania w naszej okolicy pancernej dywizji „Herman Goering”, ściągniętej z Afryki na ratunek frontu i braku możliwości wykonania zadań przewidzianych na godzinę „W” rozkazuję powrócić do konspiracji i czekać na następne rozkazy”. Byłem rozgoryczony, bo uważałem, że mam do wykonania jedno z najważniejszych zadań, ujętych w planie sztabu generalnego AK na godz. „W”: z kolegami z sekcji miałem wysadzić most kolejowy nad Utratą na magistrali kolejowej Warszawa-Berlin. W tym celu, jesienią 1943 roku otrzymałem w czterech 25-litrowych bańkach na mleko odpowiednią ilość angielskiego środka wybuchowego (plastik), detonatory i odpowiadającą im liczbę lontów czasowych (1m/sek) i z ręką piorunującą. Magazyn ten

przechowywałem w domu. Zadanie brzmiało: „Opanować strzeżony most kolejowy na Utracie, zaminować i wysadzić”.

Tymczasem godzina „W” minęła, Warszawa walczyła, a dowódca Rejonu oraz nasz najlepiej uzbrojony pluton dywersji bojowej, który miał opanować most na Utracie, zostali od nas odcięci. Następnego dnia zameldowałem się u dowódcy, porucznika „Demira”, z prośbą o zezwolenie na przejście do walczących oddziałów w Puszczy Kampinoskiej. Wyraził zgodę, ale najpierw miałem wykonać inne zadanie, a mianowicie miałem nawiązać kontakt z dowódcą 7 Rejonu i zbadać możliwości przedostania się małych oddziałów w kierunku Warszawy. Dla ułatwienia wykonania zadania otrzymałem od szefa Komitetu Obywatelskiego, Romana Olędzkiego, konia z wozem wypełnionym kapustą i warzywami.

Wyruszyłem następnego dnia wczesnym rankiem. Jechałem poboczem szosy, bo po asfalcie, w obu kierunkach, jechały wojskowe transporty niemieckie. Bez przeszkód dotarłem do skrzyżowania szosy poznańskiej z drogą, którą w prawo można było dojechać do Włoch, ale ja miałem w planie skręcić w prawo na następnym skrzyżowaniu. Mówię żandarmowi moją szkolną niemczyzną, że muszę jechać prosto, bo tam jestem umówiony. Wrzasnął „Maul halten” i walnął mnie „lizakiem” w plecy. Pojechałem w prawo. Na poboczach stały samochody a grupki żołnierzy siedziały obok nich, widocznie czekały na rozkazy. Natknąłem się na następnego żandarma, który skierował mnie na pobliskie targowisko. W mig sprzedałem wszystko, bo nie targowano się. Jako „oblatany” handlowiec nie chciałem brać „górali”, czyli banknotów 500-złotowych, bo podobno „już nie chodziły”. Jedna z kobiet sprowadziła żandarma, który w dosadnych słowach powiedział co ze mną zrobi, jeżeli nie będę brał zatwierdzonych przez Niemcy banknotów.

Wróciłem do Ożarowa bez przeszkód. Oddałem szefowi KO „utarg” i konia z wozem, a porucznikowi „Demirowi” złożyłem meldunek, z którego wynikało, że kordon żołnierzy i żandarmerii niemieckiej jest już szczelny i stale wzmacniany posiłkami napływającymi z zachodu, więc przejście oddziałów AK oraz pojedynczych ludzi, nie znających tego terenu, bez dużych strat jest niemożliwe.

Silny ogień karabinów maszynowych i dział, jak i dymy palących się domów, świadczyły o trwaniu zaciętych walk na Woli.

Porucznik „Demir” przyjął meldunek i oznajmił, że idąc do Puszczy nam

wykonać dwa zadania: przekazać w dowództwie Grupy AK Kampinos dokumenty, które mi wręcza i przeprowadzić do Puszczy kogoś, kto nie zna tego terenu. „Demir” podał mi hasło i odzew dla uwierzytelnienia naszego spotkania. Ustaliliśmy dzień i godzinę wyjścia z mojego domu.

W ustalonym dniu skoro świt zjawił się kolega z mojej sekcji saperów Czesław Chruściński „Sęp”, który miał iść ze mną.

Po chwili do pokoju wpada moja siostra i mówi, że przed domem stoi żołnierz niemiecki i pyta o mnie. Wychodzę i widzę żołnierza w czarnym mundurze wojsk pancernych, który mi mówi hasło - a ja odzew. Przedstawił się jako Jan Żuchowski, brat mojego katechety, księdza Pallotyna z Ołtarzewa. Natychmiast moje siostry odpruły mu z munduru i furażerki niemieckie „gapy” i oznaczenia i żegnani przez moją rodzinę jak na obrazach Grottgera ruszyliśmy „do lasu”. Wtedy widziałem mego Ojca po raz ostatni.

#### **Uzupełnienie do punktu 14**

Idąc do oddziałów walczących w Puszczy Kampinoskiej, przeprowadziłem kolegów bocznymi drogami, omijając silnie obsadzoną przez Niemców wieś Zaborów, na skraj Puszczy w pobliżu leśniczówki Zaborów Leśny. Nagle zza przydrożnych krzaków rozległ się okrzyk „Hande hoch!”. Posłusznie podnieśliśmy ręce.

Z zarośli wyszło trzech uzbrojonych chłopaków z biało-czerwonymi opaskami na prawych rękach. Byliśmy wśród swoich, a okrzyk po niemiecku spowodowany był mundurem Janka Żuchowskiego, dezertera z armii niemieckiej. Zatrzymała nas czujka silnie obsadzonej placówki w Zaborowie Leśnym. Patrol z tej placówki odprowadził nas – „ochotników” – na punkt zborny, który znajdował się przy „Mogile Powstańców z 1863 roku”. Było tam już kilku takich „ochotników” jak my. Czekać na eskortę do dalszej drogi myślałem sobie, w jakim to „przeciągu historycznym” znajduje się Polska, że po 77 latach od pochowania tu Powstańców poległych w jednej z ostatnich bitew z żołnierzami carskiej Rosji nasze oddziały w Puszczy znowu walczą w Powstaniu, tym razem z żołnierzami nazistowskich Niemiec.

Pod wieczór nadeszła zmiana obsady placówki, a schodząca eskortowała nas do wsi Wiersze, gdzie oddano nas w ręce weryfikatorów, bo Niemcy stale wysyłali do Puszczy szpiegów. Natychmiast zgłosiłem się jako pierwszy, aby przekazać

dokumenty z 7 Rejonu, które okazały się też „listami uwierzytelniającymi” naszą trójkę. Skierowano nas do formowanych z napływających ochotników oddziałów we wsi Truskawka.

W Truskawce kwaterował Powstańczy Oddział Specjalny „Jerzyki” dowodzony przez Jerzego Strzałkowskiego. Oddział był dobrze uzbrojony, miał sporo żołnierzy młodocianych, ale otrząskanych w pierwszych walkach w Warszawie, po których wysłany został przez dowództwo AK do Puszczy. Oddział ten bardzo nam się spodobał więc całą trójką zameldowaliśmy się u dowódcy „Jerzyków” z prośbą o przyjęcie. Wyraził zgodę, gdyż oddział wymagał uzupełnień. Od tej chwili mój i moich dwóch kolegów „szlak bojowy” związany był z POS „Jerzyki”.

Była to służba na placówkach strzegących dróg prowadzących do Puszczy oraz ich obrona gdy je zaatakował nieprzyjaciel. Zadaniem załogi placówki było powstrzymanie wroga i natychmiastowe powiadomienie dowództwa (angielskim radiotelefonem) o sile i rodzaju atakujących. Pomoc, przeważnie ułani, przybywała bardzo szybko.

Szlak takich działań obronnych „Jerzyków” prowadził przez placówki w Brzozówce, Janówku, Pocięcie, Zaborowie Leśnym. Nocami obserwowaliśmy nadlatujące nad Puszcę angielskie samoloty, które zrzucały na spadochronach zasobniki z bronią, amunicją i lekami. Ze zrzutów mieliśmy naszą broń przeciwpancerną – pociski rakietowe „Piaty”. Kobiety, które przybyły z Puszczy Nalibockiej z ułanami, szyły ze spadochronów koszule, a połówki blaszanych zasobników służyły jako koryta dla koni i krów. Takie „koryta” widziałem we wsi Wiersze gdy po wojnie zawędrowałem tam z moją grupą harcerzy, aby uporządkować bardzo zaniedbany wówczas powstańczy cmentarz.

Broń ze zrzutów była przeznaczona dla walczącej Warszawy. Pierwsza wyprawa z bronią z Puszczy dotarła na Żoliborz bez strat, bo kordon niemiecki nie był jeszcze szczelny.

Oddziały z Puszczy wzięły udział w ataku na Dworzec Gdański.

W tym ataku brał udział pluton dywersji bojowej 7 Rejonu z Ożarowa, który odcięty od wschodu i zachodu wybuchem Powstania, przedostał się w całości na północ do Kampinosu.

W ataku na Dworzec poległo kilku moich kolegów.

Dowództwo Grupy AK „Kampinos” ogłosiło nabór ochotników na następną

wyprawę z bronią na Żoliborz. Zgłosił się cały oddział „Jerzyków”. Wozy zostały załadowane i przed wieczorem kolumna ruszyła na wschód z „Jerzykami” w straży przedniej. Była już ciemna noc, gdy „Jerzyki” dotarły do Lasek na wysokości Zakładu dla Ociemniałych. Zatrzymali nas ludzie z naszego wywiadu, którzy „zamelinowani” byli w tym zakładzie. Poinformowali dowódcę kolumny, że Niemcy wiedzą o naszej wyprawie. Ściągnęli kilka silnych oddziałów i czekają na nas w zasadzce. Dowódca kolumny powiadomił przez radiotelefon majora Okonia o sytuacji i otrzymał rozkaz: w tył zwrot i powrót do Puszczy. Kolumna zawróciła, a „Jerzyki” teraz były strażą tylną i gdy kolumna mijała Pociechę zatrzymali się, aby wzmocnić załogę placówki, przewidując atak zawiedzionego wroga. O świcie dowódca „Jerzyków” z dowódcami plutonów rozmieścił stanowiska naszych lekkich karabinów maszynowych /niemieckich NG 1943/ na wydmach na południe od drogi wiodącej do Puszczy i obsadził dobrze zbudowane i schowane stanowiska na północ od drogi.

Pokazały się patrole wroga, a gdy podeszły bliżej przegoniły je krótkie serie naszych LKM-ów. Ruszył atak grupami większej liczby żołnierzy i odezwały się wszystkie stanowiska.

Nieprzyjaciel zaległ w nierównościach terenu, ostrzeliwując nas z karabinów maszynowych. Zaczęła też ostrzeliwać nas artyleria, ale pociski albo grzęzły w naszych wydmach, albo przenosiły nad naszymi głowami i rozrywały się w lesie za nami. Walka trwała do zmroku i została przerwana. Nadeszły nasze posiłki, w tym szwadron ułanów, który właściwie był szwadronem strzelców konnych, zaprawionych w walkach partyzanckich. Nieprzyjaciel atakując następnego dnia odczuł wzmoczoną siłę naszego ognia, przerwał ataki i wycofał się. Pociecha została obroniona. Poległo kilku „Jerzyków”, którzy zostali pochowani na Uroczysku „Pociecha”, które stało się po wojnie miejscem spotkań „Jerzyków” i ich rodzin, każdego roku pod koniec września, dla uczczenia pamięci poległych kolegów i wspomnień walk w Puszczy Kampinoskiej. Załączam zdjęcie takiego spotkania z roku 1970.

„Jerzyki” wróciły na kwatery w Truskawce. Był koniec września, placówki donosiły o napływie dużej liczby oddziałów nieprzyjaciela do miejscowości leżących blisko puszczy, a nad nami zaczęły krążyć niemieckie samoloty zwiadowcze. W Warszawie walki zamierały. Czuliśmy, że wróg szykuje się do rozprawy z Grupą AK Kampinos. Po wojnie dowiedziałem się z książek o Powstaniu, że Niemcy utworzyli silną grupę z różnych rodzajów wojska pod

kryptonimem „Sternschnuppe”, która miała nas zniszczyć w Kampinosie.

Czułem, że nadchodzi czas wymaszerowania z Puszczy. Pomyślałem, że dogodniej przemierzać polskie drogi na koniu niż na piechotę. Uważałem też, że jestem bardziej predestynowany aby być ułanem niż koledzy, którzy już wcześniej zasilili trzeci szwadron 23 pułku ułanów, gdyż przez pierwsze dwa lata okupacji miałem swojego, wojskowego konia. Złapałem go we wrześniu 1939 roku po bitwie pod Ożarowem, zwędziłem ze stosu zgromadzonych przez Niemców uprząży siodło i uganiałem na koniu po polach Ołtarzewa. A więc zameldowałem się u dowódcy „Jerzyków” z prośbą o zgodę na opuszczenie oddziału w celu przejścia do ułanów, gdzie są moi koledzy. Potem pomaszerowałem do sąsiedniej wsi i zameldowałem się u dyżurnego oficera ułanów. Gdy przedstawiłem się, jeden z będących tam oficerów zapytał czy porucznik 65 pułku piechoty, Kazimierz Sedlaczek, to mój krewny, a gdy powiedziałem, że to mój ojciec, stwierdził, że poznał mego Ojca w Grudziądzu. Zostałem ułanem trzeciego szwadronu 23 Pułku Ułanów Grodzieńskich. Moim nowym dowódcą był oficer stanu wojny, przedwojenny podoficer ułanów i doświadczony partyzant, Woropaj.

Byłem z kolegami w grupie „spieszonych ułanów”, bo było nas więcej niż koni. Czekaliśmy „kiedy ułan z konia spadnie”...

Przyszedł rozkaz przygotowania się do wymarszu. Wozy z rodzinami ułanów opuszczały Puszcę w kierunku południowo-zachodnim, aby szukać schronienia we wsiach i majątkach.

27 września oddziały opuściły kwatery i formowały w lesie kolumnę do wymarszu. Wschodnie placówki meldowały o silnym ataku wroga i wycofywaniu się przez las walcząc. Nadleciały bombowce i bombardowały nasze wsie. Patrzyłem z niedalekiej odległości jak domy, które nas gościły, były rujnowane.

O zmroku kolumna ruszyła na zachód. Było ciemno, gdy się zatrzymała w lasach na północ od wsi Kampinos. Trzeci szwadron odpoczywał, gdy pozostałe oddziały napływały przez całą prawie noc. Przyszedł rozkaz rozejścia się oddziałów i pojedynczych żołnierzy wywodzących się z okolic Puszczy. Wozy z rannymi rozjechały się do pobliskich majątków, w większości do Gawartowej Woli, której właściciel był oficerem naszych ułanów. Wróciła do domów większość moich kolegów, z wyjątkiem kolegów z plutonu dywersji, mojego przyjaciela Janusza Świtalskiego i mnie. Oczekiwaliśmy rozkazu rozejścia się

małymi, zwartymi oddziałami, aby następnie zejść się w ustalonym miejscu, na przykład w Lasach Opoczyńskich lub w Górach Świętokrzyskich.

Cały dzień 28 września przesiedzieliśmy w lesie, nad którym krążył niemiecki samolot zwiadowczy. O zmierzchu ruszył na południe trzeci szwadron, w straży przedniej, a za nim niestety „całe wojsko”, z którym nie potrafił się rozstać oficer liniowy, major Okoń.

Gdy trzeci szwadron ominął wieś Kampinos i drogą na południe doszedł do mostu nad Utratą, koniec ponad dwukilometrowej kolumny dopiero wchodził na tę drogę. Czołgi zaatakowały w ciemności nasze straże tylne, a potem ostrzeliwały z dział naszą drogę, ale niecelnie, płosząc nasze konie i powodując zator i bałagan na moście. Niesamowite wrażenie robiły przelatujące kilka metrów od naszych głów pociski z dział czołgowych, które rozrywały się potem w polu. Próbowano nas ostrzelać z ciężkich karabinów maszynowych z wiosek położonych opodal po obu stronach naszej drogi. Pociski świetlne (co dziesiąty pocisk w karabinie maszynowym jest świetlny) mijające się wysoko nad nami wskazywały, że chyba ostrzeliwali się nawzajem, bo niebawem wystrzelone z obu stron rakiety przerwały ogień.

Trzeci szwadron szedł w porządku, różnym tempem, mijając uśpione wioski.

W jednej z nich zobaczyłem przed chałupą, przy płocie, stojącego w bieliźnie chłopca, który spytał: „Panie, co to za wojsko?”. Odpowiedziałem, że polskie. Odchodząc słyszałem jak mówił: „Skąd tyle luda?”. Po małej utarczce z przypadkowymi żołnierzami niemieckimi na szosie poznańskiej, trzeci szwadron został zatrzymany rozkazem, w gęstej mgle, gdy już dniało, bo powstała luka między nim i pozostałymi oddziałami.

Wódz chciał mieć swoje wojsko „w kupie”, ale okazało się niebawem, że Niemcom też na tym zależało. Tymczasem trzeci szwadron zatrzymał się we mgle na odpoczynek, a ja z Januszem natknęliśmy się na płot, za którym majaczyła chałupa. Zapukaliśmy i po chwili siedzieliśmy w kuchni przy stole, a dobra gospodyni częstowała nas ugotowaną na śniadanie kartoflanką z zacierkami. Powiedziała nam, że jesteśmy w osadzie Budy Zosine, między Jaktorowem a Żyrardowem. Gdy wyszliśmy z chaty, słońce rozpraszało mgły i zobaczyliśmy kłębowisko oddziałów i koni z wozami, które powpadały na siebie we mgle. Słysząc było zbliżające się odgłosy walki z kierunku, z którego przyszliśmy. Nadleciał niemiecki samolot rozpoznawczy, zwany przez nas „ramą”, bo miał dwa kadłuby; obniżał lot i siekł w nasze kłębowisko płosząc

konie i powodując jeszcze większe zamieszanie. Nawracał dwa razy. W końcu jakiś pocisk trafił pilota, bo samolot zadarł w górę i runął na ziemię za polem walki.

Nagle na tory kolei Warszawa-Koluszki wtoczył się pociąg pancerny i odciął nam drogę na południe, zamykając nas w pułapce. Zrozumieliśmy niemrawość niemieckich ataków w Puszczy i w drodze na południe. Niemcy nie chcieli nas rozproszyć, chcieli zniszczyć całą Grupę AK Kampinos, zaganiali więc nas do zorganizowanej pułapki, a nasz wódz to im niestety ułatwił. Przyłączyłem się z Januszem do małego, zwartej oddziału, prowadzonego na zachód przez młodego oficera. Poruszaliśmy się skokami, od rowu do rowu. Dobrze po południu pociski przestały bzykać nad naszymi głowami, a odgłosy walki jakby oddalały się na wschód. Przeszliśmy krzaki i weszliśmy do rzadkiego, sosnowego lasu. Wkoło nas było cicho, szliśmy na zachód. Dowódca oddziału zatrzymał nas przy małym wzniesieniu, na którym w bruzdach rosły młode, trzymetrowej wysokości świerki.

Powiedział: „Chowamy się w lasku do zmroku, a nocą postaramy się dotrzeć do Puszczy Mariańskiej za Żyrardowem”. Rozmieściliśmy się grupkami wkoło lasu. Leżeliśmy z Januszem w bruzdach, pogryzając jabłka, które dostaliśmy od dobrej gospodyni. Nagle za nami padł strzał, potem seria z KM-u i wybuch granatu. Przed nami ukazało się trzech. Janusz strzelił serią ze swego PM-u, oni zniknęli.

Nad nami, od tyłu przeleciał granat i upadł przed naszymi głowami. Wtuliłem głowę w bruzdę. Eksplozja i cisza. Bezwiednie siadłem w bruzdzie. Cisza i nikogo nie widać, tylko obok mnie leży bez ruchu na swoim PM-e mój przyjaciel Janusz, a z głowy sączy mu się strużka krwi. Janusz, z którym przed chwilą rozmawiałem, którego kartkę do rodziny mam w kieszeni, któremu pomagałem zwędzić z niemieckiego samochodu sanitarnego w Ołtarzewie jego PM, na którym teraz leży.

Ocknąłem się, gdy ktoś od tyłu trącał mnie w głowę czymś twardym. Odwracam się. Nade mną stoi krępy, czerwony na gębie podoficer, na hełmie ma badyłę zatkniętą w siatce, ma podwinięte rękawy, pistolet maszynowy uwieszony na szyi, a w ręku pistolet, którym mnie trącał. Dobry rzemieślnik wojny. Słyszałem, jak przez watę zatkanie uszy, że mówi: „noch ein lebt” czyli „jeszcze jeden żyje”. Powiedział to oficerowi, nadchodzącemu z grupą żołnierzy, objuczonych zdobytą bronią. Wstałem, oficer podszedł, popatrzył na mnie i spytał grzecznie, stosując formę „Sie”, czy znam język niemiecki. Potaknąłem



głową. Czy znam angielski. Chwila wahania i też potwierdziłem. Uczyła mnie w Ołtarzewie przez kilka miesięcy siostra Gerlicz – urszulanka. Oświadczył, że Powstańcy są rebeliantami i Niemcy muszą ich traktować surowo, ale inaczej traktuje się żołnierzy zachodnich aliantów. Wziął mnie najwyraźniej za kogoś innego, ale nie oponowałem. Powiedział coś do podoficera i odszedł z grupą żołnierzy. Podoficer kazał mi iść w kierunku południowym. Za mną maszerował jeszcze jeden podoficer, z lewą ręką na temblaku, i kilku żołnierzy, którzy nie wyglądali na tych, którzy walczyli z nami w tej bitwie. A więc dostałem się do niewoli.

Mrok gęstniał i dzień 29 września 1944 roku się kończył. Na ciemnym niebie stała luna i słychać było pojedyncze strzały. To niemieckie patrole z psami przeczesywały pobojuwisko. Dobięła końca największa bitwa Armii Krajowej po lewej stronie Wisły i ostatnia bitwa Powstania Warszawskiego. Zawzięta bitwa. Powstańcy zestrzelili samolot, jedyny zestrzelony przez partyzantów nad Polską, użyli dział zdobytych na Niemcach i walczyli poszczególnymi oddziałami do końca. Poległ dowódca Grupy AK Kampinos, major Okoń i około 200 Powstańców. Około 200 dostało się do niewoli. Część wydostała się z „kotła”, gdy nie był jeszcze szczelny, a grupa ułanów pod dowództwem „Doliny” szarżą wydostała się na zachód i dotarła do Lasów Opoczyńskich. Grupa AK „Kampinos” przestała istnieć.

Załącznik do Ankiety Uczestnika Powstania Warszawskiego,

**Copyright** Lech Sedlaczek i Muzeum Powstania Warszawskiego © 2021